N° 22.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.



Warszawa, dnia 19 (31) Maja 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

Kościół i Klasztor OO. Bernardynów we LWOWIE.

Pierwszym założycielem téj świątyni był Andréj ze Sprowy Odrowąż, wojewoda ruski, za czasów Kazimierza Jagiellończyka,



Kościół i Klasztor OO. Bernardynów we Lwowie.

około r. 1460. W pierwszéj połowie XVII wieku, ojcowie uznali za rzecz potrzebną pomyśleć o zbudowaniu innego, obszerniejszego i trwalszego klasztoru, któryby pod każdym względem był i obszerniejszym i bezpieczniejszym, w razie napadów nieprzyjacielskich. Najwięcéj przyczynili się do tego dzieła: król Zygmunt III. i starosta Jerzy Mniszek, których też uważają ojcowie Bernardyni za nowych niejako fundatorów swoich i przechowują z największą wdzięcznością ich portrety. Ostateczne jednak wykończenie téj budowy, przyozdobienie jéj wnętrza i poświęcenie jéj, nastąpiło w r. 1630.

Kościół zbudowany jest właściwie w stylu gotyckim, z trójkątną facyatą, ale wznosząca się nad nim wieża z zegarem, niezupełnie odpowiada warunkom tego stylu i zakrawa już potrosze na styl oryentalny. Ołtarzów jest siedmnaście. Organów dwa: jeden zajmujący cały chór nad głównym wchodem, a drugi mniejszy, w kaplicy Bł. Jana z Dukli. Wewnętrzne przyozdobienie téj świątyni jest bardzo kosztowne. Sufity i ściany zdobią piękne malowidła *al fresco,* które w r. 1838 odnowił Marcin Jabłoński, jeden ze znakomitszych malarzów lwowskich.

Z innych osobliwości zasługują na uwagę: kilka obrazów, nagrobki, srebrny pozłacany kielich z patyną starożytnéj roboty, krzyż srebrny również starożytny i szkatułka biała aksamitna z uszkiem— wszystko to przechowywane z wielką czcią, jako pozostałości po niegdyś (w XV wieku) przebywającym w tym klasztorze Bł. Janie z Dukli.

Osobistości sławnych w innym względzie, prócz religijnego,

bardzo mało wydał ten klasztor. Głównym jego świecznikiem i ozdobą jest Błogosławiony Jan z Dukli, zakonnik reguły św. Franciszka, zmarły tutaj r. 1484, a któremu miasto Lwów pomnik nawet wystawiło w r. 1649. Obok niego można wymienić jeszcze tylko ks. Cypryana Damierskiego, jako męża uczonego, po którym pozostała w rękopiśmie dość obszerna i ciekawa kronika historyczna z XVII wieku.

Biblioteka klasztorna, będąca jakiś czas w największym nieładzie, a uporządkowana dopiero w r. 1853 przez ks. Łapczyńskiego, liczy obecnie do 4,000 tomów.

FOSFORESCENCYA MORZA.

Własność wydawania światła przez morze, nazywamy fosforescencyą.—W czasie zjawiska ocean zdaje się płonąć, nie tym blaskiem czerwonawym, rażącym oko, ale światłem łagodném, migotliwém, srebrzystém, przelewającém się po falach fantastycznie. Dawniéj zjawisko to uważano za właściwe wyłącznie okolicom podzwrotnikowym,—nowsze jednak spostrzeżenia okazały, że i morza Europejskie przedstawiają podobne objawy.

Decharme, profesor lyceum w Angers, wielokrotnie obserwował fosforescencyą morza na brzegach Bretanii, i według jego opinii istnieje pewien związek pomiędzy zjawiskami fosforescencyi, a zaburzeniami atmosfery.

Powołuje się on w téj mierze na swe spostrzeżenia, w czasie od 9—29 września. Morze w dniu 9 połyskiwało najżywszém światłem; następnego zaś dnia spadła gwałtowna burza. Podobne zjawiska miały miejsce 15 i 23 września, po których zawsze następowały nawałnice.

Decharme złożył Paryzkiéj Akademii Nauk opis fosforescencyi, obserwowanéj pomiędzy Saint-Nazaire i Croisie. Po dniu gorącym, przy słabym wietrze południowym, powiada on, morze błyszczało światłem, przedstawiającém się najwspanialéj o 7 godzinie wieczorem. — Pomimo iż noc była ciemną, z odległości 1,000 stóp dostrzegać można było żywe błyski światła, wytwarzane w skutek uderzania fal spotykających się z sobą.—Niebo od wschodu pokryło się czarnemi chmury—na odległym horyzoncie błyskawice krzyżowały się w powietrzu,—wilgotny nawet piasek, pozostały po odpływie morza, w wielu miejscach żarzył się światłem. Za naciskiem nogą błyszczał siejąc mikroskopowe iskierki.—Woda poruszana niemniéj wydawała światło. Wreszcie Decharme w głębokości 12—16 cali pol. dostrzegał pod falami punkty fosforescencyjne, stałe, odosobnione, dość znaczną przedstawiające rozległość.

Decharme zebrał w szklanny flakonik wodę morską, za skłóceniem któréj otrzymywał również żywe światło. — Po kilku chwilach spoczynku, tylko powierzchnia płynu i część przezeń niezajęta, objawiały w ciemności fosforescencyą; światło następnie gasło, odżywiając się za każdém poruszeniem stołu, na którym spoczywał flakonik. — Woda w nim zawarta objawiała przez cały miesiąc podobne zjawiska za wstrząśnieniem, światło jednak widocznie słabło na sile z biegiem czasu.—Siódmego października przechowały się zaledwie ślady blasków—w kilka dni potém—całkiem one znikły.

Nie ulega już dziś wątpliwości, że fosforescencya morza pochodzi z obecności w niém żyjątek światło wydających. — Są one w kształcie baniek, kuliste jak dynie w miniaturze, a mikroskop powiększający czterdzieści razy wielkość naturalną, bardzo wyraźnie je uwidocznia. — Wymoczki te przedstawiają się wtedy pod wyżéj wspomnianą postacią, dochodząc średnicy 2—4 milimetrów, i cechują się przytém większą przezroczystością w środku ciała, niż przy jego obwodzie.

Powróciwszy do Angers, profesor napróżno szukał wymoczków mikroskopijnych z pomocą szkła więcéj powiększającego,—rozkład ich nastąpił zupełny.

Zresztą obserwacye jego, dotyczące związku pomiędzy fosforescencyą a zaburzeniami powietrznemi, oparte są na faktach znaczących.

Około północy 19 września, w czasie gdy morze płonęło blaskami najżywszymi, zerwała się burza, trwająca z niepospolitą gwałtownością przez kilka godzin, tak na lądzie jak na morzu.

Jedenastego i dwunastego września, jednocześnie z objawami światła fosforescencyjnego, huragan wstrząsał bez przerwy przez 12 godzin morzem w Poulinguen, i poczynił wielkie spustoszenia na brzegach kanału La Manche, w Anglii i we Francyi.

Dwudziestego siódmego września, Decharme zaobserwował słabe tylko światło fali morskich; dzień też następny przeszedł spokojnie, a ku wieczorowi niebo przysłonięte czarnemi chmury, wyjaśniło się zupełnie.

Z powyższych obserwacyj profesora wynika, że siła natężenia fosforescencyi jest w dość ścisłym związku z zaburzeniami atmosferycznemi, których tém samém byłaby zwiastunem.

Opierając się na tych badaniach, możnaby snuć prognostyki meteorologiczne. — Silna fosforescencya przepowiadałaby burzę — słaba oznaczałaby nastąpić mającą pogodę.—Badaniem wymoczków, sprawców tajemniczego światła na morzu, zajmował się głównie Duchemin.

Czemże jest fosforescencya? zapytuje on w broszurze niedawno przez siebie wydanéj. Nie czém inném, tylko światłem z żyjątek mikroskopijnych pochodzącém.

Ocean zdaje się płonąć wtedy, gdy milijardy wymoczków zapełniają jego powierzchnię. — Te jednak zjawiska nie pochodzą bynajmniéj z przyczyn elektro-magnetycznych, lub meteorycznych, ale z obecności w morzu jestestw organicznych.—Staczają one z sobą, powiada Duchemin, ciągłe walki i pożerają się wzajemnie. — Nie zawsze jednak morze objawia fosforescencyą, dla tego nie w każdéj porze przejawiają się żyjątka.—Gdzież się podziały ich roje niezliczone?

Na to pytanie nauka dotąd jeszcze nie może odpowiedzieć.

Duchemin zamykał te twory w naczyniach szklannych, otoczonych mieszaninami oziębiającemi—a żyjątka nietylko znosiły dotkliwe zimno, ale nadto błyszczały jeszcze żywszém światłem. — Profesor ztąd wnosi, że warunkiem fosforescencyi jest znaczące obniżenie się temperatury.

Dolewając do wody morskiéj nieco alkoholu lub kwasu stężonego, wymoczki wydają blask silniejszy, ale zjawisko niknie po pewnym czasie, gdyż od tych cieczy jestestwa wymierają. — Jeżeli je przeniesiemy po wydobyciu z morza do naczynia z wodą słodką, wnet utracą własność rozlewania światła.—Dolewanie wtedy alkoholu i kwasów, przepuszczanie prądu elektrycznego, nie wywoła nawet śladu fosforescencyi. —Elektryczność działa silnie na wymoczki, ale ich nie zabija, jak to ma miejsce przy użyciu kwasu lub alkoholu.

Decharme i Duchemin zapoznawają nas z cudownym światem mikroskopijnym morza, który od wielu wieków był dla naturalistów nieprzeniknioną tajemnicą.

W. Niewiadomski.

PLEBAN.

I.

Kapłan wiejski! Ludek Boży
Skarby niebios w nim posiada.
Błąd on skarci, złość ukorzy,
Na łzy gorzkie, w nim porada!
On zasili wiarą ducha,
Umysł prosty on oświeci,
Skargi łona on wysłucha,
On, stroskane krzepi dzieci!
Mądrość jego, księga owa,
Co dla wszystkich jako zorza
Jednostajne światło chowa,—
Tytuł księgi: *Miłość Boża.*
Mistrzem jego, Pan z Golgoty,
Dziatwą jego, trzódka mała;
Troską, błąd jéj, szczęściem, cnoty,
W Panu, cała jego chwała.
Skromny, cichy, a pobożny,
W chatce kmiotka on aniołem!
Mgły niedoli, wiarą możny,
On rozpędza jasném czołem.
Sam ubogi, *sługą sługa,*
Idąc w święte Mistrza szlaki,—

Kapłan, ojcem dzieci pługa—
Bracia jego, te biedaki!
On nadobne łączy pary,
On im ochrzci dziatki hoże,—
Pracę słowem wzmacnia wiary,
I uświęca śmierci łoże.—
Dla nich zawsze, zawsze z niemi,
Czy to stypa, czy wesele,
On najsnadniéj w nich rozplemi,
Trochę światła, a cnót wiele!
I takiego to kapłana
Znałem kędyś pośród sioła...
Byłto istny sługa Pana...
Świętym zwano go dokoła.
Dziś on w niebie. Kmiotków łona—
Wieczny pomnik tego męża;
Rok za rokiem zwolna kona,
Czas pomnika nie zwycięża.
Bo kto w bratnich sercach żyje,
Pobratymcem ten wieczności—
I niezwiędłe mu lilije
Kwitną w sercach potomności.
Gdzie był ojciem wiejskiéj trzody,
Kędy prawdą karmił dzieci,
Śród cmentarnéj krzyż zagrody,
Może komuś z was wyświeci.
Czyli zawsze mówił z siebie,
Czy zkąd mądre czerpał zdania,
Dla nas jedno: któż w potrzebie,
Naśladować mędrców wzbrania?
Dość, iż z jego ust nauka,
Z łaską Bożą w pierś padała—
I w tém siole, do prawnuka—
W przypowieściach przetrwa cała.
Razy kilka, byłem świadkiem,
Jak prościuchnéj dziatwy koło—
Szczerze, skromnie a wesoło,
Darzył prawdą jak opłatkiem.

II.

Był to wieczór. Lampy Boże,
Z niezmierzonéj niebios dali,
Hojnie lały światła morze,
W mroki nocy...
Kmiecie stali
Z utopioném w niebo czołem...
Zachwyt niemy z modły społem
Wzruszał ciche, proste łona.
Daléj, dziatwa w noc wpatrzona—
W środku kapłan.
Chwilkę pewnie
W modłach czekał łaski Ducha,
Gdyż wnet począł zwolna, rzewnie,
A maluczkich grono słucha:
„Patrzcie, mówił, patrzcie, dzieci!
Co tam świateł Bożych świeci!
Te, wraz z Niebem tam zatlone—
I przez wieki nieskończone,
Blask ich Stwórca dla nas nieci...
Światy, które zważyć może,
Dłoń li Stwórcy wszechmogąca,
To są dla nas lampy Boże!
Człek je zowie: gwiazdy, słońca.—
Świat z podziwem patrzy na nie,
Acz te źródła jego blasku,
Toną w niebios oceanie,
Jak w pustyni ziarnka piasku"...
„Te znów, w nocy zamigocą
I nie wrócą z drugą nocą.
I nim obieg ich daleki
Zamknie koło, miną wieki.
Drogi dla nich, On tam kreśli—
Człek je ściga lotem myśli!"
„Ztąd do wniosku dojść potrzeba,
Iż jesteśmy duchem z Nieba,
Gdy możemy z swéj nicości
Wznieść się myślą tam, gdzie gości—
Cudów Stwórcy liczba mnoga.
Duch więc mamy z łona Boga."
„Wszak sprobujcie władzy ciała,—
Czy też siła jego cała
Zdoła wznieść nas tam, w te światy,
Kędy wzlata duch skrzydlaty?
Nieudolne nasze dłonie
Dotknąż, zważą te księżyce?
Skoro niebios głąb' pochłonie
Światy owe złotolice,
Cóż potęga zdziała oka?
I czyż ucho nasze, dzieci,
Zdoła schwycić tam, z wysoka—
Gdy tych świateł smuga leci,
Bodaj szelest ich daleki?
A wszak one płyną wieki!"...
„Wiarą, jednak oskrzydlony
Duch nasz, dziatki, przejrzeć zdoła
I po za tych świateł koła!
I tych świateł miliony,
W nieśmiertelne odzian blaski,
On przeżyje z Bożéj łaski!"
„Dziatki! Czy też pojmujecie,
Nieśmiertelność dar jak wielki?
W oceanach wód kropelki,—
Po Nim, wszystkiém my, na świecie!—
Te powietrzne oceany,
I mieszkańcy ich rozliczni,
I skarb ziemi nieprzebrany—
Wszystko nasze!—My dziedziczni
Skarbów ojca właściciele!
Wszak i to już, dziatki, wiele!
Lecz, choć biedni my i prości,
Bóg ma większe dla nas dary!
On nas wzywa do wieczności—
Drogą cnoty, prawdy, wiary!"
„Lecz, czyż kiedy, dziatwo miła,
Myśl też wasza zapytała
Jaką była owa siła,
Co wprawiła w ruch te ciała?
„Często bawiąc się chłopczyki,
Lubią z procy, lub też z dłoni,
Ciskać z całych sił kamyki.
Każdy okiem w przestrzeń goni...
I kto daléj kamień ciska,
Temu siła przysądzona;
A czyj kamień upadł z bliska,
Ten najsłabszym zwie się z grona.—
Ztąd więc, sądźcie, moje dzieci,
O niezmiernéj owéj sile,
Co rzuciła światów tyle—
I świat każdy wieki leci—
I w kierunku jednym goni,
Prądem wziętym z owéj dłoni!...
Dziatki! Ze czcią na kolana!
Owa siła... Wszechmoc Pana!"
„Poszukajcież teraz, dziatki,
Jaka mądrość, sternik jaki,
Owe jasne światy, światki,
Przez nieznane wiedzie szlaki,
Tak, iż w wielkiém owém niebie,
Zgodnie płyną obok siebie,
Poplątane dróg ich siecie,
A ich złote kręgi przecie—
Nigdy z sobą się nie starły,
Gdy my, w ciągłych swarach, karły!...
Stwórca, dzieci, ster ich wodzi—
Jak i naszéj ziemskiéj łodzi..."
„Zkąd powstały kłótnie nasze?
Oto często kawał ziemi,
Który dłońmi człek opasze,
Zwadę rodzi między swemi!
Powszedniego kęs też chleba,
Grosz znikomy, chuć złośliwa,
Często węzły bractwa zrywa!
Czyż tak wiele ludziom trzeba?
Mrówki świata! Patrzcie na nie,
Na te światy, co przez wieki,
Płyną zgodnie w szlak daleki—
To, za przykład niech wam stanie!
Wiedząc, gdzie je wiedzie droga,
Te ogromów miliony,
Kornie pełnią wolę Boga,
Co choć od nas oddalony,
Lecz opieką swą zaszczyca,
Równie modre niebios lica,
Jak nas, dziatki, i jak owe
Płazy nikłe i krociowe,
Które człowiek, król na ziemi,
Codzień depce stopy swemi.
Tak, przed Pańskiém tém obliczem—
O, nie myślcie, żeśmy niczém!...
Miłość Jego nas ogarnia!
Błogosławmy więc, o dziatki,

Tego Ojca, co zdaleka
Żywi cedry i bławatki—
I pilnuje dróg człowieka.
Słowo: „*stań się!*“ On wypowie,
Przed dniem Jego, ciemność znika...
W każdym naszym czynie, słowie,
Uszanujmy przewodnika!
Gdy za ciężki na dźwiganie
Krzyż wam zsyła, wtedy dzieci,
Niech wam ufność weń zaświeci—
I *bądź wola Twoja Panie!*“
Takich nauk było wiele.
A nie tylko dziatwa mała,
Starsza trzódka, jak w kościele,
Z ukorzeniem go słuchała.
Często, gęsto, waśń tę, ową—
I sąsiedzkie kmiotków swary,
Mistrz ów rzewną, szczerą mową—
Jak przymierzem godził wiary.
Dziatwa zwała go aniołem,
Starzy, radą i pociechą,
On zaś, z sercem wciąż wesołém,
Zwał się biednym, prostym klechą.

(*dok. nast.*)

MAMMUT.



Dążąc ustawicznie do odkrycia jeszcze nieznanych praw natury, a tém samém do rozszerzenia wszechwiedzy w dziedzinie nauk przyrodzonych,—myśl ludzka nie szczędzi zarazem swoich usiłowań ku rozpoznaniu tego, co niegdyś istniało.

Dzięki Geologii, Geognozii (znawstwo mass ziemskich) i Paleontologii (nauka o skamieniałościach) znamy już nie mało szczegółów przejść i życia organicznego ziemi z epok najodleglejszych. Obok dość rozległéj znajomości zaszłych w kolei wieków wstrząśnień, tudzież odmian planety naszego, doszliśmy z resztek życia organicznego, jakie pozostały, do niejakich pojęć o jego przedhistorycznéj faunie i florze, to jest—zwierzętach i roślinach.



Dziatwa w noc wpatrzona—w środku kapłan. (Str. 171).

Rysunek do naszego artykułu dołączający się, wyobraża Mammuta. Jest to jedno z najogromniejszych zwierząt pierwotnéj fauny. Mammut (Elephas primogenius), należy do rodzaju kopalnych słoniów. Kości jego dają się napotykać w całéj Europie: w Niemczech, Anglii, Francyi, Hiszpanii, Włoszech, Belgii, Szwajcaryi e. t. c.

W roku 1750, według świadectwa uczonego siedmiogrodzianina, naturalisty, Ignacego Born, znaleziono kości Mammuta w salinach wielickich. We dwadzieścia dwa lat potém, Piotr Pallas, zwiedzając w r. 1772 Syberyą, odkrył w ziemi kraju Samojedów zwłoki Mammuta pod stopn. 68 szer., i prawie jednocześnie zwłoki nosorożca, całego ze skórą, blizko rzeki Wilni, wpadającéj do Leny, pod stopn. 66 szer. Odwieczna zlodowaciałość miejsc grobowych, zachowała od zepsucia zwłoki tych zwierząt. Odtąd na Syberyi bardzo często znajdowane bywają kły Mammuta, długie na 15—16 stóp, podobne do kości słoniowéj, ale daleko ciemniejsze. Stanowią dziś one niewyczerpany przedmiot handlu wywozowego.

W roku 1806, uczony Adams, znalazł w nadbrzeżnych lodach północnego oceanu cały Mammuta kościotrup, obecnie w Muzeum Petersburgskiém znajdujący się.

Podajemy tu, wyjętą z czasopisma rossyjskiego, zajmującą historyą tego ostatniego odkrycia:

„Jedno z plemion syberyjskich, Tunguzy, odwiecznie po wybrzeżach Oceanu lodowatego koczujący, trudnią się wyłącznie polowaniem i rybołowstwem. Im samym, w téj pustynnéj okolicy świata, wydarza się najczęściéj znajdować kości i kły Mammutów. Właśnie w roku 1804 naczelnik jednego z takich tunguzkich pokoleń, nazwiskiem Szumanów, na niedźwiedzia polując, odkrył w lodach oceanu kościotrup Mammuta; a że dla nieprzebytych śniegów i lodów nie mógł doń przedostać się, obejrzenie więc znalezionego przedmiotu odkładając na późniéj, wrócił do domu.

Tam, opowiedziawszy żonie, domownikom i sąsiadom o swém odkryciu, dowiedział się od obecnych, bardzo starych ludzi, że na lat wiele przedtém, odkryty był zwierz podobny i że zaraz po odkryciu wymarła cała rodzina człowieka tego i on sam — snadź dla téj przyczyny jedynie, że był pierwszym co ujrzał Mammuta. Pod wpływem przesądów plemiennych, mianowicie: że Mammut ma być zwierzęciem złowrogiém i że odkrycie jego jest jakoby zapowiedzią nieszczęść wielkich, znalazca Mammuta Szumanów zachorował ze strachu. Powróciwszy do zdrowia, przypomniał sobie, że odkryte przezeń tajemnicze zwierzę ma kły ogromne, z którychby mógł niemałe osiągnąć korzyści; — postanowił tedy udać się niezwłocznie na miejsce.—Jakoż w miesiącu marcu, tegoż roku, mimo napotykanych trudności, zdołał przebrać się do kościotrupa i znalazł zwierzę bardzo dobrze zachowaném: — jego kości pokryte były nietylko mięsem ale i skórą, porosłą długim, gęstym, kędzierzawym włosem. Tunguz Szumanów zabrał kły i następnie sprzedał je dość korzystnie.

We dwa lata późniéj, to jest w 1806 roku, naturalista Adams, znalazł tego samego Mammuta, w takim samym stanie; mięso tylko pożarły psy i niedźwiedzie białe; cały zresztą kościotrup Adams wydostał z pustyni i do Petersburga przywiózł. Szczególny traf pozwolił mu przyjść do posiadania sprzedanych niegdyś przez Tunguza kłów. W Petersburgu więc szkielet cały był zrestaurowany, złożony — i do Muzeum przez Adamsa oddany.

W duchu podań miejscowych i obyczaju mongolskiego, Burjaty dotychczas silnie wierzą, że Mammut dziś jeszcze żyje w miejscach niedostępnych, głównie zaś we wnętrzu ziemi. W Pekinie, na początku XVI stulecia, wydano historyą naturalną, w któréj opisane są szczegółowo kształty, siły, jak niemniéj właściwości wszelkie i zwyczaje tego gatunku zwierząt. — W ogólności, mieszkańcy północnéj części średniéj Azyi, zachowali święcie i pielęgnują legendę, przez wieki powtarzaną z całą mocą przekonania: jakoby wnętrze ziemi przeludnioném było Mammutami gigantskich rozmiarów; zwierzęta zaś te, z rozporządzenia natury, przeznaczone żyć nieprzerwanie w najgłębszéj ciemności, — a ztąd, jak tylko nazbyt przybliżą się ku zewnętrznym otworom skorupy ziemskiéj, blask je dzienny a nawet najlekszy promień światła natychmiast zabija.

Mammut, o ile wnioskować możemy i z oddzielnych części i z całego szkieletu, ma od 15—16 stóp wysokości, licząc od nóg do grzbietu; znacznie więc wielkością przenosi największe z dzisiejszych, afrykańskie a nawet indyjskie, słonie.

Ciało jego pokryte było rudawą szerścią, podobną do włosa końskiego, długą na 15—16 werszków. Między tą grubą i długą szerścią, znajdowała się druga, biaława, miękka, daleko krótsza — a oprócz tego miał na sobie bujną grzywę. Kły jego, długie na 18 stóp, były mocno zakrzywione w górę; każdy z osobna ważył siedmset funtów; oba kły razem 35 pudów. Jego trzonowe zęby, są to wielkie kościane massy. Było ich po dwa z każdéj strony. Korona tych zębów, jak u słonia, z wierzchu płaska, najeżona wypukłemi marszczkami emalii; trąba także jak u słonia, snać była ruchomą, czułą, złożona z dwóch kanałów nosowych i zakończona wyrostkiem, podobnym do palca, mogącego podnieść najdrobniejszy przedmiot; miała tedy takie samo przeznaczenie, jak trąba słoniów.“

Na zakończenie zebranych o Mammucie wiadomości, wspomnieć tu wypada o faktach odkryć późniejszych:

W roku 1830, w Missuri znaleziono głowę Mammuta ogromnéj wielkości. Każdy ząb miał pięć stóp długości; końce ich sterczały wysunięte z paszczy i mocno zakrzywione. — Ważniejszém jest jednak odkrycie, uczynione na lat dziesięć przedtém:

Kamieniarze angielscy znaleźli w 1820 roku, w jaskini pod wsią Kirkdale, niedaleko Yorku, kości i zęby Mammuta, w pośród przemnogiéj liczby kości i zębów hyeny, tygrysa, hyppopotama, nosorożca i t. d. Podług badań angielskiego geologa, Buckland, jaskinia ta służyła przed wiekami za legowisko hyenom; wody potopu zalały ją i dziś — jest tylko olbrzymiém grobowiskiem wspólném, jak hyen, przez wszystkie ich generacye, tak niemniéj stworzeń po wszystkie czasy przez hyenę pożeranych.—Kostnice do Kirkdalskiéj podobne, znaleziono nieco późniéj we Francyi, w departamencie du Gard (w Langwedocyi) w departamencie de l'Aube (w Szampanii), a także pod Liège w Belgii. (Reliquiae diluvianae 1823).

Uczeni wszakże są po większéj części zdania: że Mammuty żyły stadami w miejscach obfitujących w wegetacyą roślinną, wyłącznie w krajach zwrotnikowych,—i że tylko dla wielkich wylewów południowego morza ustąpiły na północ, gdzie też od ostrego zimna wszystkie naraz wyginęły. — Buffon, a za nim inni, utrzymują przeciwnie. Podług tych ostatnich, Mammuty, bynajmniéj nie z konieczności, nie z jakowegoś przynaglenia mieszkały na północy, ale żyły tu z zupełną wolnością, w stanie właściwym ich przyrodzeniu; tém pewniéj, że wszystkie części ich ciała dochodziły tu właściwych rozmiarów i swojego wzrostu; — a przytém, ciało Mammuta pokryte gęstą szerścią zdawałoby się dowodzić, że zwierzęta te nie gdzie indziéj, a tylko w klimacie ostrym stale zamieszkiwały.

Jakkolwiek pytanie powyższe dotąd rozstrzygniętém nie jest, opierając się wszakże na geologiczném rozbiorze faktów i zgodnie z wnioskami Bucklanda, stawionymi z okoliczności odkrycia owéj Kirkdalskiéj kostnicy, — jesteśmy tego zdania:

Na wiele wieków przed potopem, żyły na północy zwierzęta pierwobytnéj fauny, których szczątki znaleziono w podbiegunowych krajach Azyi i Ameryki. Kraje podbiegunowe były więc przed tysiącami lat, tak zupełnie jak dziś zwrotnikowe, dostatecznie ciepłymi, skoro w nich przebywały stale zwierzęta zwrotnikowych krajów. Ale owa niegdyś ciepła temperatura zmieniła się nagle w zimną jak lód—i również nagle zamroziwszy wszystkie naraz zwierzęta wodami potopu zalane, zabezpieczyła je tym sposobem od zepsucia i od rozkładu, tak dalece, że po upływie tysięcy lat, mogły jeszcze służyć za żer psom i niedźwiedziom białym.

Odkrycie kopalnych zwrotnikowych roślin w krajach podbiegunowych północnych, przypuszczenie to silnie popiera.—Skoro bowiem przed tysiącami lat panował na ziemi klimat zwrotnikowy; skoro, jak to jeszcze Plutarch wypowiedział: „był czas, kiedy nieustająca wiosna rozciągała się na całéj powierzchni ziemi" — tém samém i zwierzęta zwrotnikowych krajów, na całéj ziemi żyć mogły.

Ludwik Orzeszko.

OPOWIADANIE STASIA.

POWIASTKA,

przez

T. T. Jeża.

(*Dalszy ciąg*).

Wykładałem obrażonym, że pomiędzy francuzkiém *cochon* a polskiém „kocham" zachodzi podobieństwo brzmienia, podobieństwo, na podstawie którego Jaksa, mówiąc *monsieur cochon*, chce powiedzieć nie co innego tylko: „panie kochany."

Nareszcie, zajechaliśmy do Paryża.

Wjeżdżając na bruk téj stolicy świata, cały zmieniłem się w organ widzenia. Ciekawość, jaka się we mnie nagle obudziła, była bez granic. W duszy mojéj grał, śpiewał, bębnił, huczał, rozdymał się i koziołki wywracał jeden wyraz:

— Paryż!...



Dziatwa zwała go aniołem — starzy radą... (Str. 172).

Zdawało się mi że odrazu stałem się większy, znakomitszy, cięższy, lekszy, jaśniejszy, poważniejszy, widniejszy, dowcipniejszy, rozumniejszy, weselszy, ładniejszy. Wystawiłem głowę przez okno od dyliżansu i chwytałem łakomém okiem każdy migający przedmiot. Rzeczy zwykłe, wydawały się mi nadzwyczajnemi. Dziwiłem się wszystkiemu: i kamienicom, podobnym do kamienic innych miast, i wystawom, nie różniącym się od wystaw gdzieindziéj widzianych, i ludziom, takim samym jak wszyscy na świecie. To wszystko w oczach moich podnosił, upiękniał, uwydatniał i szczególnym blaskiem oblewał ten takiéj rozgłośnéj sławy wyraz:

— Paryż...

— I ja w Paryżu!... — mówiłem sobie w duchu i wzdychałem.

— Czego tam ziewasz?... — zapytał Jaksa, pykając powoli ze swojéj piankowéj fajki.

Nic mu na to nie odpowiedziałem.

Zajechaliśmy do jednego z najpierwszych hoteli i zajęliśmy paradny na bel-etażu apartament. To uwalnia mnie od szczegółowego opisywania hotelu i apartamentu. Powiem tylko, że mieliśmy pięć pokoi, umeblowanych z całym przepychem, na jaki Paryż zdobyć się może.

To dosyć. Nie potrzebuję więc rozwodzić się: nad aksamitami, adamaszkami, bronzami, rzeźbami, obiciami, malowidłami ozdabiającemi ściany, sufit, podłogę, okna i kominy, nad sprzętami i sprzęcikami, służącymi do zaspokojenia najwybredniejszych potrzeb, nad płatną uprzejmością, przewidującą najtajemniejsze żądania, nad wykończoną wytwornością, przejawiającą się w najmniejszéj drobnostce, nad ministeryalną powagą *maitre d'hôtel*, szarmanteryą garsonów etc. etc. Słowem—zamieszkaliśmy prawdziwie po pańsku, po królewsku.

Pierwszą w Paryżu moją, po zainstalowaniu się, czynnością było, żem się rzucił na kanapę i pogrążył w pewną osłupiałość. Wypoczywałem. Czułem znękanie, nie z powodu podróży, ale z powodu doznanych wrażeń. Leżałem, patrzyłem się w sufit i głęboko oddychałem. I zapytywałem sam siebie:

— I cóż?... cóż tedy?... cóż daléj?...

Cóż?

Zacząłem żyć (termin techniczny) — to znaczy: zacząłem używać, to jest puszczać majątek.

Takich, co w Paryżu majątki puścili, nieprzeliczone mnóstwo było i jest. Do tego mnóstwa przybyłem i ja—jednostka w tłumie, niczém się nie różniąca od innych tego samego kalibru jednostek i pod tym chyba tylko względem różna, że miałem mentora, który,

na przekór innym podobnego rodzaju mentorom, placu mi nie dotrzymał.

Nie ciekawa to historya, bo zanadto dobrze znana. Nie będę więc wam szczegółów opowiadał. Używałem i basta.

Ale w używaniu nie rzuciłem się odrazu na łeb na szyję. Zachowałem pewne stopniowanie. Rozpocząłem od małego, skromnie, jak wielka rzeka ze źródlisk malutkim sączy się strumieniem. Nie była w tém moja wina ni zasługa, ale wina czy zasługa mego niedoświadczenia, a i tego także, że mentor mój zawiódł moje oczekiwanie. Myślałem że Jaksa wprowadzi mnie odrazu na szeroki, bity gościniec używania. A on wprowadził mnie, z jednéj strony, na niewinne drożyny, po których kroczą ludzie porządni, z drugiéj, do cuchnących nor, w których przed okiem świata ukrywa się najpospolitsza i najobrzydliwsza rospusta. Szrankami, na których za jego przewodnictwem wystąpiłem, były: teatr, kawiarnia, cukiernia, restauracya, zamiejskie ogródki i pewne kryjówki, pozostające pod szczególnym policyi dozorem. Trafiłbym był tam i bez niego, ale nie na tak długo jak z nim. On się rozpływał. Dla mnie nie wystarczało—dla mnie to trąciło sielanką. Pragnąłem czegoś więcéj, czegoś takiego, w czémby się rozpusta, że tak powiem, eteryzowała. Pragnąłem czegoś takiego, co to nie tylko ciału dogadza, ale i duszę w ogniste kręgi porywa i pali.

Jaksa był zanadto cielesny, za zbyt ciężki. Objadał się, opijał, pośmiał się na komedyi, popatrzył na kankanową mimikę, pochrząkał, rozwalał się i chrapał. Wstawał i to samo powtarzał. Przy nim tedy i z nim rola moja, po upływie paru tygodni, stała się rolą psa ciągnionego na sznurku. Monotonność znudziła się mi i zbrzydła. Jaksa w Paryżu stał się dla mnie towarzyszem niedogodnym. Szukałem więc sposobów odczepienia się od tego niedogodnego towarzysza, z którego ludzie się śmieli, gdy on u *Frères Provenceaux* lub u *Vefoure'a* palce sobie z sosu oblizywał.

Sposób się znalazł. Przypomniałem sobie o procesie sukcesyjnym.

— Cóż?... — zapytałem raz Jaksy. — Czy ty myślisz o twoim procesie?

— Czyż nie dostrzegasz, jak mi łeb od myślenia łysieć zaczyna?...—odpowiedział, pokazując mi wierzch głowy, na środku któréj coś nakształt tonsury formować się zaczynało.

— Byłeś u twego adwokata?

— Djabli by tam do niego chodzili!... Niech psiakrew do mnie przyjdzie!...

— Jakże on może wiedzieć żeś przyjechał!...

— Powinien wiedzieć... To jego psia powinność...

— Trzeba, żebyś sam poszedł...

— Dokąd?

— Do adwokata...

— To chyba chcesz, żebym do każdego w Paryżu domu chodził i pukał i pytał: czy tu mieszka mój adwokat?...

— Nie znasz jego adresu?

— Djabli by go tam znali!...

— Wiesz przynajmniéj, jak się nazywa...

— Djabli by go wiedzieli!...

— A to dobre!...—zawołałem.—Cóż z tego będzie?...

— To będzie, że ja się z nim spotkam na ulicy i natrę mu tęgo uszów...

— Szukaj-że go po ulicach... Trzeba, żebyś się raz przecie wziął do téj takiéj ważnéj sprawy...

— O! że trzeba, to trzeba...—odparł Jaksa.

Tym sposobem rozeszliśmy się. Ja puściłem się bez mentora, a mój mentor puścił się na odszukanie adwokata.

Odszukanie to odbywać się musiało zupełnie w taki sposób, jak w okolicy Kopystyniec wyszukiwanie dla mnie żonki. Nic mnie ono jednakże nie obchodziło. Kontent byłem, żem się pozbył Jaksy, i powoli, powoli, próbując i informując się, trafiłem na drogę estetycznéj rozpusty, bardzo kosztownéj, ale za to nadzwyczajnie ponętnéj.

Pozwolę sobie słów kilka o niéj powiedzieć.

Nie zadawalniała mnie ona, ale zatumaniała; nie poszywała ducha w ogniste etery, ale go upajała. W najwyższym bowiem swoim stopniu, działała zawsze i tylko wyłącznie na zmysły.

Muszę poprzestać na tych kilku wyrazach. Nie mogę opowiadać tajemnic moich czynów na tém polu, bo nie chcę ażeby opowiadanie moje stało się poradnikiem dla tych, co mają majątki do stracenia. Powiem tylko, z czém zresztą nie ma co się chwalić—że przeszedłem wszystkie stopnie rozpusty. Kielich jéj wychyliłem do samego dna i na dnie znalazłem obrzydliwe męty. Kontent jednakże byłem. Piłem, smakowałem, a w ciągu picia i smakowania pieniądze moje płynęły potokiem, podobnym do tego, który sformowawszy się ze stopionego od słońca na górach śniegu, rzuca się ze skały na skałę i w dolinie przepada.

Ale pomijam to. Taką była konkluzya, z któréj wypowiedzeniem trochę się pospieszyłem. Należało ją odłożyć na koniec opowiadania, gdyż nim do niéj przyszło, tymczasem przylgnęły do mojéj osobistości wypadki, których nie mogę milczeniem pominąć.

Odczepiłem się od Jaksy, ale Jaksa niezupełnie. Mieszkaliśmy razem i z jednego czerpaliśmy worka. To wiązało nas w pewien rodzaj spółki życiowéj. Schodziliśmy się, widywaliśmy się, mówiliśmy ze sobą. Jaksa chwalił się, jak zwykle, czynami nieprawdopobnymi; ja, jak zwykle, jedném uchem jego chwalb słuchałem. Jaksa niczego odemnie nie żądał, bo nie miał czego żądać; ja, również od niego. I było nam wygodnie. Każdy robił co mu się podobało. Jaksa uregulował sobie życie: o jednéj godzinie wstawał, o jednéj szedł spać, o jednéj jadł, o jednéj przechadzał się i zachodził do niepodejrzanych i podejrzanych miejsc — snadź myślał, że tak zawsze będzie. Ja pędziłem przed siebie, jak ów potok, o którym tylko co wspomniałem, w zygzaki i zwroty, i tylko to się regularnie powtarzało, że szedłem spać wówczas gdy Jaksa się budził.

Raz, wracając około ósméj rano, ku wielkiemu memu zdziwieniu znalazłem Jaksę w salonie. Siedział w fotelu, w porannym stroju. Miał na sobie aksamitny, jedwabnym z kutasami sznurem przepasany, szlafrok; z pod szlafroka wyglądały szerokie czerwone z żółtym lampasem spodnie; na nogach pantofle i jedwabne szkarpetki; na głowie paciorkowa ze złotym kutasem czapeczka.

— A?...—rzekł, gdy mnie wchodzącego ujrzał.

— Jeszcze nie spisz?... — zapytałem.

— Pytaj mnie raczéj: czyś już wstał?

— Tak późno?...

— Tak wcześnie... Wstałem, żeby się spotkać z tobą, bo mam do ciebie prośbę...

— Ty?... prośbę?... do mnie?...—zapytałem zdziwiony.

— Ja... do ciebie... Ale pierwéj muszę ci powinszować... Wyglądasz, jakbyś ze szpitala uciekł.

Machnąłem na to ręką, na znak że ta uwaga jest zbyteczną, i zapytałem:

— Cóż masz mi do powiedzenia?...

— Odszukałem adwokata...

— Przecie... —bąknąłem.

— Nie tego jednak samego, którego szukałem... innego, ale takiego samego... Oni wszyscy do siebie podobni, jak bociany... Zna moję sprawę na wylot i podejmuje się ją wygrać, ale chce się z tobą poznać...

— A toż dla czego?

— Djabli go wiedzą... Coś Francuzowi w głowę wlazło... Prosił mnie, ażebym go tobie zaprezentował...

— To prezentuj... — odrzekłem i puściłem się ku sypialnemu pokojowi.

— Dziś, między trzecią a czwartą... — dopędziły mnie we drzwiach Jaksy wyrazy.

— Dobrze...—odbąknąłem.

I poszedłem spać.

Ciężkim, kamiennym jest sen, po spędzonéj na rozpuście nocy. Jest to jedyny naturalny posiłek. Wszystkie inne są nie czém innném, tylko konfortatywami, rozgrzewającemi krew i rozpalającemi imaginacyą, ale nie wzmacniającemi organizmu. Jeden sen go wzmacnia i dla tego zapewne natura dla rozpustnika uczyniła go twardym!

Obudziłem się około czwartéj. Zadzwoniłem. Wbiegł lokaj i oznajmił mi, że w salonie kapitan i jakiś pan czekają na mnie.

Przypomniała się mi prośba Jaksy. Ubrałem się więc co prędzéj i wyszedłem.

Jaksa prezentował mi nieznajomego, następującym sposobem:

— Mój Francuzie nastaw buzię... Przypatrz no się mu dobrze, Stasiu... Jest to Francuz nad Francuzami... Nazywa się *monsieur Cochon*...

Nieznajomy skłonił się mi z akcentem potwierdzającym nazwę, którą do niego Jaksa zastosował.

— Tak powinienby się każdy nazywać Francuz...—ciągnął Jaksa. — Otóż tak nazywa się tylko ten, a inni djabli wiedzą po jakiemu... Dla tego, powiadam, że jest to Francuz nad Francuzami i do tego adwokat nad adwokatami...

— Bardzo jestem szczęśliwy, że mam honor poznać pana dobrodzieja...—powiedział prezentowany po polsku.

To mnie zdziwiło.

— Pan mówi po polsku?...—zapytałem.

Pan Cochon się uśmiechnął.

— Spędziłem dwanaście lat w Warszawie, więc się nauczyłem... Znam dużo Polaków...

Wymienił kilku głośniejszego imienia hrabiów i książąt i nazwał kilka miejscowości.

Mówienie jego było płynne, zdradzające wprawę we władaniu naszym językiem, chociaż nacechowane cudzoziemskim akcentem. Przekręcał i kaleczył wyrazy, zwłaszcza te, w których zbiegało się dużo twardych spółgłosek, ale je wymawiał i zrozumiale szykował.

Prosiłem go siedzieć. Usiedliśmy.

— Otóż widzisz—zabrał głos Jaksa—ten *monsieur Cochon* zna moję sprawę doskonale...

Spojrzałem na Francuza i uśmiechnąłem się. Francuz spojrzał na mnie i także się uśmiechnął, ale bardzo nieznacznie, i natychmiast przybrał poważną minę lekarza, słuchającego opowiadania chorego o symptomatach choroby i kombinującego te symptomy w myśli.

Jaksa opowiadał o śmierci tego Ajaksa co się utopił.

Przez ten czas w milczeniu przypatrywałem się Francuzowi. Był to człowiek lat przeszło czterdziestu. Cała powierzchowność jego była—jak Francuzi powiadają — *irreprochable*, łącząc w sobie powagę człowieka przyzwyczajonego radzić drugim i postawę człowieka posiadającego nawyk wieku światowego życia. Ta jego powierzchowność nie odpowiadała sposobowi, w jaki go Jaksa przedstawił i to właśnie stanowiło kontrast, który uderzał. Mimowolnie nasuwała się do myśli uwaga:

— Jakto, taki przyzwoity człowiek pozwala o sobie, przy sobie, mówić jak o błaźnie!...

Zdawało się jednakże, że to pochodzi ztąd, iż pan Cohon umie nie zważać na pewne drobnostki i wie z góry, jak kogo traktować i na co komu można pozwolić. To na co pozwalał Jaksie, nie pozwoliłby nikomu innemu. Zdawało się, że znajomość życia była znajomością, którą w wysokim posiadał stopniu. Takie ten człowiek zrobił na mnie wrażenie. Do tego dodać muszę — co także do wrażenia się przyczynia — że i odzieży jego nie było nic do zarzucenia. Starannie wygolony, bez pretensyi uczesany, był ubrany tak, że mógł iść z wizytą do gabinetu ministra sprawiedliwości i poufale obok niego zasiąść. Wzrostu był miernego, tusza świadczyła o regularności żywota, oblicze krągłe, oświecone piwnemi oczami i ozdobione trochę zadartym nosem, nosiło na sobie cechę dobroduszności, połączonéj z jakąś zagadkowością, która się wydawała sprytem.

* * *

Ten *Monsieur Cochon* zafrapował mnie. Obudziła się we mnie troskliwość, pochodząca z obawy, ażeby tak poważnie i szanownie wyglądający człowiek nie padł ofiarą mistyfikacyi, za jaką miałem pretensye Jaksy do królestwa greckiego. Zawiązałem więc z nim rozmowę po francuzku, dając za pretekst, że mu łatwiéj będzie ojczystym mówić językiem. Istotnym zaś powodem było to, że nie chciałem ażeby nas Jaksa rozumiał. Pan Cochon zrozumiał powód, bo na wypowiedziany pretekst uśmiechnął się, głową skinął, i na Jaksę okiem z ukosa rzucił.

— Czyż pan istotnie przywiązujesz nadzieję jakiegoś powodzenia do takiéj dziwacznéj pretensyi?.. — zapytałem.

Pan Cochon ramionami ścisnął i odpowiedział:

— Może... Najdziwaczniejsza pretensya przestaje być dziwaczną, jeżeli się da podtrzymać...

— Ale, czyż to podobne w sprawie wymyślonéj przez mego przyjaciela!

— To zależy... Zbieg okoliczności może podobieństwo stworzyć... Wyobraź pan sobie, że jeden z gabinetów, pozostających w stosunkach politycznych z wysoką Portą, zapotrzebuje postawić pretendenta...

— Ależ, przecie, potrzeba, żeby ten pretendent miał choć pozór prawa!...

— Właśnie, pozór jest... pozór etymologiczny... Chodzi więc jeszcze tylko o genealogią, a o tę można się postarać... Przy pomocy badań, sprawdzań a na lewszystko zręczności, można znaleść węzeł do związania ciemnych początków Jasków z ciemnym końcem Ajaksów i dowieść, że Jaksowie są Ajaksowiczami... Dowód da się przeprowadzić tem łatwiéj, że pomaga mu olbrzymia siła pańskiego przyjaciela... Wiadomo z Iliady, że Ajaks był nadzwyczajnéj siły i ogromnéj odwagi, to jest, posiadał te same przymioty ciała i duszy co pański przyjaciel... Zatem do pozoru etymologicznego przybywa jeszcze fizyologiczny i psychologiczny... Cóż pan na to?..

Zupełna nieświadomość, w jakiéj pozostawałem pod względem psychologii, fizyologii, etymologii i politycznych stosunków, zawiązała mi gębę. Nie miałem co odpowiedzieć i musiałem uwierzyć w prawdopodobieństwo Jaksy widoków. Więc odpowiedziałem:

— Bardzo się tém cieszę... Wię pan bierzesz na siebie prowadzenie téj sprawy:

— Biorę, tem chętniéj, że da mi ona sposobność oddania się badaniom nad dziejami Grecyi, do czego mam wrodzoną skłonność... Tylko, rozumie się, łączą się do tego wydatki, których ja, w interesie pretendenta do korony greckiéj, ponosić nie mogę...

Pojąłem, że to przymówka do mojéj kieszeni. A żem się z nią wcale nie drożył, przeto odparłem.

— Rozumie się... Jakież ta sprawa pociągnie za sobą koszta?..

— To się dopiero pokaże... Będą koszta i koszta i jeszcze koszta... Najprzód trzeba zebrać dowody, systematycznie je uporządkować i zwrócić na tę kwestję uwagę opinji publicznéj... Następnie, zebrane i uporządkowane dowody trzeba wprowadzić na pole prawa publicznego i dać je gdzie należy do akceptowania... Naostatku, trzeba z prawami wystąpić, zapewniwszy sobie z góry dyplomatyczne poparcie... Więc poszukiwania, porządkowanie, publikacye i ujmowanie wysoko postawionych ludzi, będą miliony kosztowały...

— Z kądże ich wziąć!.. — podchwyciłem.

— Byle zacząć... — odparł Francuz, rękę wyciągając. — Byle na pierwszym stanąć szczeblu, to na drugi i następne sprawa się sama już podniesie... Już nabierze wartości przeciętnéj, na którą można będzie weksel wystawić...

A po chwilce milczenia dodał:

— Pan możesz śmiało na początek zaawansować... Znam stan pańskich interesów...

Popatrzyłem na niego pytającym wzrokiem. On odpowiedział:

— Przecież byłem w Warszawie, umiem po polsku i znam wielu Polaków...

Na to, w kilku wyrazach, nie obwijając rzeczy w bawełnę, odpowiedziałem mu cel mego do Paryża przybycia i wywiązała się rozmowa o resursach téj stolicy świata. Na tém polu pan Cochon okazał głębokie znawstwo. Poskarżyłem się mu na znudzenie. Zaśmiał się.

— Bo trzeba przerwać, skazać się na chwilowy post i gorzkie krople, ażeby zaostrzyć apetyt... Przez to do używania nabiera się świeżych sił... Nie można ciągnąć jednym tchem: trzeba przerywać, mieniać i urozmaicać...

Lewie żem nie skoczył mu na szyję z okrzykiem:

— Dobrodzieju!.. zbawco!..

Już em się był wysilił, już zaczęła mi była szalona rozpusta obrzydzać, pomimo żem brnął w niéj w otoczeniu gracyj i muz,—już przewidywałem chwilę przesytu, pomimo że mi jeszcze prawie trzy czwarte moich pieniędzy pozostawało. Byłem więc bardzo dla pana Cochon uprzejmy. Prosiłem go na obiad do *Frères Provenceaux*, lecz on się wymówił obowiązkiem ojca familji i przyjął zaproszenie nazajutrz.

Nie poszedłem dnia tego nigdzie; zjadłem objad w hotelu, a po obiedzie przeszedłem się po bulwarach; byłem na operze włoskiéj i o północy położyłem się do łóżka, w którém przeleżałem do południa, trochę drzemiąc, a trochę myśląc.

Myślałem o panu Cochon. Tylu ludzi poznałem, żaden nie wydał mi się tak jak on dobrym do rady.

Znajomości moje składały się, albo z młodych trzpiotów i trzpiotek albo ze starych libertynów. Pierwszy Cochon stał po za tém zaczarowaném kołem, a stojąc po za niém, ani ze mnie szydził, ani mnie moralizował—przeciwnie: wchodził w moje położenie i—że tak się wyrażę—świeżym wiatrem dmuchał w żagle mojéj nawy. Był on dla mnie dobrym nabytkiem.

Przy obiedzie poznaliśmy się bliżéj.

— Wezmę ja pana trochę w moję opiekę—rzekł, gdyśmy się rozgadali—jeżeli, rozumie się, na to zezwolisz...

— Z całéj chęci... — odrzekłem.

— Nie na długo jednakże... — ciągnął daléj — Trochę... To znaczy: na kilka dni... Potem odstąpię na stronę i będę czekał, aż znów zakołatasz do mnie... Paryż ma nieprzebrane i niewyczerpane resursa, ale je trzeba zużytkować...

— Zrób pan program—podchwyciłem.—Z góry go obiema podpisuję rękami...

— Program zostawię natchnieniu—odparł—albo zrobię inaczej... Zostawię go natchnieniu mojéj córki, która w téj właśnie chwili jest na wakacyach.

— Brawo!.. — zawołałem.

— Więc jutro o dziesiątéj odbierasz pan bilecik a w nim wykaz dziennéj czynności...

Rozeszliśmy się. Ja znów udałem się kolejno na przechadzkę,

do teatru i do łóżka, i równo o dziesiątéj otrzymałem zapowiedziany bilecik, w którym wyczytałem, że *mademoiselle Filipine Cochon* naznacza *rendez vous*, o jedenastéj, w pewnéj kawiarni na ulicy *St. Honoré*, gdzie mamy zjeść śniadanie, a po śniadaniu udamy się do Wersalu.

Stawiłem się na oznaczony czas i miejsce. Pan Cochon, w towarzystwie żony i córki, czekał na mnie. Pani, trzydziestokilkoletnia kobieta, od pierwszego oka rzutu, zrobiła na mnie niemiłe wrażenie. Jéj wzrok wydał się mi za zbyt przenikliwy. Zdawało mi się, jakby spojrzawszy na mnie, przeszyła mię na wylot. Jéj wązkie usta, jéj ostre, chociaż wcale nieszpetne rysy, miały w sobie coś odtrącającego, coś takiego, co groziło pokąsaniem. Lecz wrażenie to prędko minęło. Przemówiła, uśmiechnęła się i z odtrącającéj stała się pociągającą. Taką jest potęga uśmiechu kobiecego.

Panna Filipina nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Jakiego to wrażenia żądać można po czternastoletniéj dziewczynce, ubranéj w majtki i jeszcze niesformowanéj!... Spojrzałem na nią przelotnie i, gdyby mnie się kto spytał, jak wygląda, czy ładna, czy brzydka, nie umiałbym dać odpowiedzi.

Zjedliśmy śniadanie wcale skromne. Ostrygi, bifsztyk, kuropatwa, strasburski pasztet i desser; do ostryg wino białe; do mięsiw bordeaux, do desseru szampańskie; po tém wszystkiém czarna kawa z koniakiem, po kawie kieliszek likieru. Zapłaciłem. Powozy były gotowe; wsiedliśmy i „*fouette cocher*!“ Pan Cochon wsiadł do jednego powozu z Jaksą, którego dowcipy, jako dla mnie tylko i adwokata zrozumiałe, pomijam; ja z panią i panną do drugiego.

W Wersalu widzieliśmy pałac, galerję obrazów i park. Ja towarzyszyłem damom. Daleko za sobą zostawiliśmy panów, którzy nie mogli za nami zdążyć. Byliśmy od nich lżejsi. Oni więc wlekli się pomału i często ginęli nam z oczu. My we trójkę biegliśmy przodem; a w parku trójka zredukowała się na dwójkę, bo pani pozostała z panami, ja zaś z panną Filipiną znaleźliśmy się sami.

Dziewczynka była uszczęśliwiona. Śmiała się, skakała, wyścigała się ze mną, lub ująwszy mnie za rękę ciągnęła za sobą i nazywała leniwcem. Twarzyczka się jéj zaogniła, oczki zajaśniały. Spojrzałem na nią trochę uważniéj. Nie była szpetną. Miała oczy czarne i włosy czarne i brwi w łuk i usteczka karminowe i zęby białe a równe i nosek zgrabny, trochę zadarty, jak u papy, i figurkę wysmukłą. O nóżkach i rączkach nie wspominam — była Paryżanką. Ale wspomnieć muszę o małéj, czarniutkiéj brodawce, która się jéj ulokowała poniżéj prawego policzka pomiędzy zagięciem nozdrza a kącikiem ust, i nadawała jéj twarzy nadzwyczajnie oryginalny wyraz, budzący apetyt do ucałowania téj brodawki. Cóż z tego—kiedy miała czternaście lat i chodziła jeszcze w majtkach.

Po przechadzce zjedliśmy obiad, który był z góry zamówiony. Powróciwszy do Paryża, kiedym się rozstawał z towarzystwem, pan Cochon mnie zapytał:

— Cóż, kontent pan jesteś z dnia?..

— Bardzo... — odpowiedziałem — Cóż jutro?...

— Spoczynek, a po jutrze Fontaineblau...

Wycieczka do Fontainebleau wypadła jeszcze lepiéj. Ubawiłem się serdecznie. Do ubawienia przyczyniły się głównie zdziwione i zdetonowane miny Paryżanek w lesie. Paryżanka w lesie, to coś takiego, jak ryba w powietrzu. Do tego dodać należy straszne legendy, krążące pomiędzy mieszkańcami Paryża, o fontenebloskim borze. To też, gdy którego z nich los tam zapędzi, wszystkie te legendy nasuwają się mu do myśli, i za każdém drzewem, nieledwie pod każdym listkiem, ukazują ukrytego rozbójnika. Ogląda się: wszędzie drzewa, dokoła tajemnicza a w tajemniczości groźna cisza, nigdzie ani *sergeant de ville*, ani żandarma. Wydaje się mu niepodobieństwem, ażeby go w tém odludziu, w takiém od aniołów stróżów, czuwających dniem i nocą nad bezpieczeństwem jego osoby i kieszeni, oddaleniu, nie napadnięto i przynajmniéj do koszuli nie obdarto. Wracać ze spaceru bez koszuli?—to się szczególnie kobietom nie podoba.

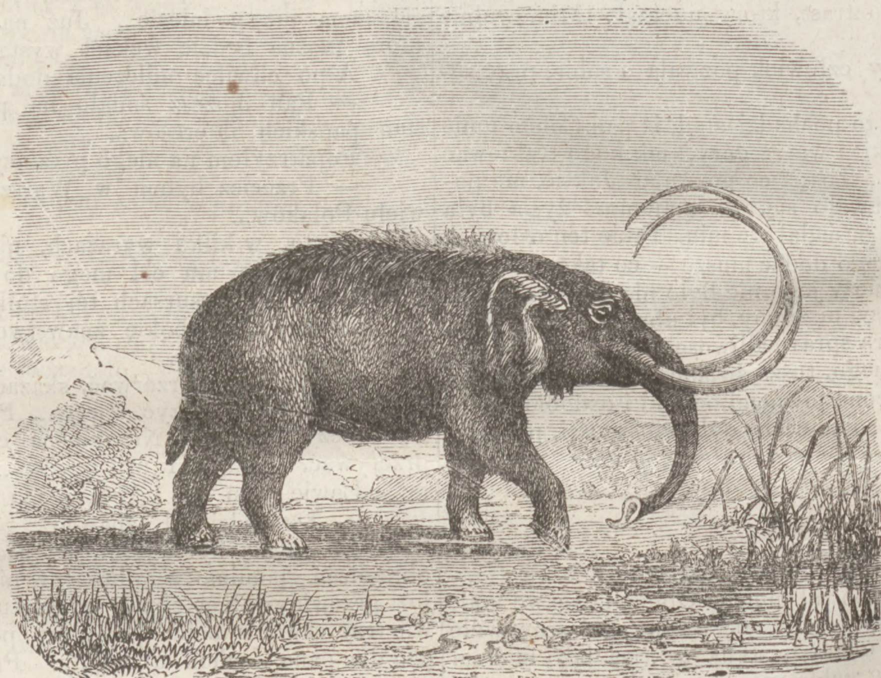
Kręciłyż się moje Paryżanki, jak muchy w ukropie, ulegając dwóm uczuciom: uczuciu ciekawości, które je w las ciągnęło, i uczuciu strachu, które je z lasu goniło. Ciekawość jednakże przemagała, więc szły, ale, ileż to razy bladły i z przerażenia kamieniały! Szmer liści, skrzyp konarów, ukazanie się jakiegoś przechodnia pomiędzy drzewami, wydzierały im z piersi okrzyki trwogi. Nic nie pomagała obecność rycerskiéj postawy pretendenta do korony greckiéj.

W ciągu przechadzki kilkakrotnie pani i panna radziły wracać. Ja temu się opierałem, popierany przez pana Cochon przemagałem i daléj w las towarzystwo ciągnąłem. Nie mogłem jednakże na dwie namówić rzeczy: na przyspieszenie kroku i na zejście z głównéj alei w celu zagłębienia się w gąszcz. Prosiłem, błagałem, zaklinałem, wszystko było napróżno. Szliśmy noga za nogą, oglądając się na prawo i na lewo. Panie i panowie z wyjątkiem Jaksy, podziwiali moję odwagę, lecz nie szli za moim przykładem.

Przyszła mi do głowy pusta myśl, zrobić sobie z ich strachu zabawę. Wsunąłem się więc w las i chciałem obejść po za niemi drogę i z przeciwnéj strony, wziąwszy na wywrót surdut i czapkę, wyskoczyć z hałasem z za drzewa. Lecz wykonując ten zamiar, właśnie w chwili kiedy stałem nad drogą i przypatrywałem się, ażali, przechodząc na drugą stronę, nie zostanę postrzeżony przez oglądających się, nagle padł w pobliżu strzał. Zdziwiony, stanąłem. Nim jednakże z pierwszego wyszedłem zdziwienia, spadło na mnie nowe. Ujrzałem przesuwające się, w wielkim mimo mnie pędzie, jedną po drugiéj postacie, najprzód Jaksy, za Jaksą pana Cochon, za panem Cochon pani Cochon, a tuż za tą ostatnią pannę Cochon. Nie dość na tém. Za panną Cochon biegł człowiek w wiejskiém ubraniu, ze strzelbą w ręku, a za tym człowiekiem biegło dwóch ludzi w mundurach, z karabinami. Jaksa, pomimo tuszy, ciężkości i wieku, pomykał jak laufer, pan Cochon zgubił kapelusz, panie były strasznie blade i wydawały urywane okrzyki:

— O!... o!... och!...

(d. c. n.)



Mammut. (Str. 172).

Wydawca, MIECZYŃSKI ADAM. — Дозволено Цензурою. 19 (31) Мая 1871 г.— **Redaktor**, FRANCISZEK GUMOWSKI.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*,